

Niechże nie zjem karpia, jeśli jestem za przesadną dyscypliną pracy, za tak zwanym przykrepaniem śruby, za czepianiem się. Ale poczucie zwykłej przyzwoitości — obowiązuje. Zarazem ośmielać się zaproponować dyskusję na temat: „współzależność pomiędzy stanem zaopatrzenia i tempem obsługi klientów, a sprawnością pracy niektórych biur oraz instytucji”. Nasuwające się wnioski mogą być przydatne. Nie tylko w okresie przed świętami.

Film o tragedii Florencji

Znany włoski reżyser teatralny i filmowy Franco Zeffirelli zamierza zrealizować film o tragedii Florencji.

— Byłem świadkiem straszliwej klęski, jaka spadła na moje rodzinne miasto, oglądałem bohaterstwo jego mieszkańców — mówi Zeffirelli. Chciałbym, aby ludzie zachowali w pamięci obraz zniszczenia i przykłady poświęceń. Zapropnowałem rzymskiej telewizji realizację filmu dokumentalnego, który można będzie pokazać na całym świecie.

— Chciałbym, aby ten film — dokument, film — świadectwo był przede wszystkim hymnem na cześć młodzieży i jej poświęcenia. Niechaj już nikt nie potępia dzisiejszego młodego pokolenia, w działaniu bowiem wzruszające przykłady ofiarności. Chłopcy i dziewczęta, zmarzyńcy, zabici tacy prawdziwą bitwę o uratowanie dzieł sztuki i zabytków miasta. Widziałem, jak studenci i żołnierze, brodząc po pas w wodzie, wynosili księgi z archiwów. Być może spracowane ręce żołnierzy, którzy dzwiliły bezcenne manuskrypty, nigdy przedtem nie dotykały książki. Tu nosiły ją tak uważnie, jak noś się dziecko.

— Filmowaliśmy zniszczone i uszkodzone rzeźby, freski, obrazy. Chciałbym jednak ukazać i inną stronę tragedii. W ciągu wieków mieszkańcy Florencji stworzyli własną, oryginalną cywilizację. Dziś wszystko to, wydaje się, zostało starannie z powierzchni ziemi. Jak pomóc słynnym florentyńskim haciarom, które dziedziczyły po pokoleniach ich sztuki, ich geniusz twórczy. To co tworzyli w swych maleńkich warsztatach — dzieła ich trudu, fantazji — uległo zniszczeniu i może zniknąć na zawsze samo pojęcie artystycznego rzemiosła. Starczy nam sił, aby rozpocząć wszystko od początku — mówią niektórzy haciarzy. Chciałbym, aby to było prawdą. (PAP)

Nakiadem „Ossolineum” ukazała się praca o wielkiej wartości dla poznania dziejów i obyczajowości końca wieku XVIII, zwłaszcza zaś burzliwych, dramatycznych przebiegów narodowych wieku XIX. Są to Prota Lelewela (brata Joachima), „Pamiętniki i diariusz domu naszego”. Przygotowała obszerny ten tom do druku, wstępem i przypisami opatrzyła Irena Lelewel-Friemannowa. Olbrzymia tutaj kryje się suma wiedzy o dziejach i przemianach zwłaszcza okresów Księstwa Warszawskiego jak Królestwa Polskiego z kolei zaś od powstania listopadowego poprzez noty diariusza, materiały do lat bezpośrednio aż po koniec powstania styczniowego. Dalsze okresy poznajemy już tylko wrywkowo. Szczegółowe znaczenie mają wiadomości, charakterystyka, przyczyny związane ze starszym bratem autora, Joachimem. Oczywiście, partie tekstu są nierówne pod względem wartości, miejscami przyciężki styl utrudnia lekturę, w sumie jednak prawdziwa to kopalnia materiału, często zupełnie potąd nieznanego.

PIW opublikował nową książkę Anny Kasprovicz-Jarockiej „Córki mówią” (niejako ciąg dalszy dawniej wydanej tomu „Poezja i miłość”). Autorka pisze także w imieniu swej siostry Janiny. Obie są córkami Kasprovicza i Jadwigi (Przybyszewskiej). Wspomnienia osnute są na podstawie

wspomnień własnych oraz korespondencji pomiędzy Kasproviczem a Jadwigą, a datują się od momentu odejścia tej ostatniej do Przybyszewskiego. Jest w tej książce niemało tragedii, jakiegoś przymusu publicznej spowiedzi ze spraw w końcu bardzo rodninie intymnych. Autorkami powoduje pragnienie obrony pamięci i czci matki, której z różnych stron nie szczędzono pomówień. Często jest polemika z krytykami, zwłaszcza zaś z „Dziennikiem” Marii Kasproviczowej. Wiele szczegółów całkiem nowych przybywa do bio-

treści, jak odbijające świetnie epokę.

Jana Kreczmara „Pamiętnik aktora” (PIW), to nie zdawkowa jak często bywa gdzie indziej, porcja wspomnień, ale na ich tło rzucona zarazem własna koncepcja sztuki, oryginalne uwagi o kunszcie aktorskim, ciekawy malunek niejednej z wybitnych postaci polskiej sceny, obraz życia teatralnego przed wojną, jakaś bogata suma doświadczeń. Książka to nie tylko dla tzw. „środowiska”,

niejedni z wyznawców hitleryzmu.

Tego samego ponurego okresu tyczy książeczka Stanisława Pigonia „Wspominki z obozu w Sachsenhausen 1939 — 1940” (PIW). Autor odmalowuje tutaj gębną losów profesorów Uniw. Jagiellońskiego wywiezionych z Krakowa w zimie 1939 — 1940. Ta zbrodnia, która wstrząsnęła całym światem, odmalowana spokojnymi, tym bardziej przejmującymi barwami, mówi o stosunku do nauki rasy „nadludzkiej”. Równolegle ukazała się pt. „Sachsenhausen”, księga pamiątkowa II Krajowego Zjazdu B. Więźniów tego obozu (Wydawnictwo Literackie), gdzie obok wspomnień, w przemówieniach zarysowane zostały jasno sprawy stosunku polskiego do zbrodni hitlerowskich i do dzisiejszego układu spraw niemieckich w świecie.

Jako ostatnią pozycję chciałbym dziś zwrócić uwagę na pierwszą część wspomnień Józefa Tadeusza Mieszkowskiego „Ze wspomnień podporucznika rezerwy 1939 — 1941” (Czytelnik), gdzie autor wieciez na przetyku polki w walce we wrześniu, z kolei służbę w oddziałach we Francji i w Anglii. Najciekawsze są w książce partie ilustrujące swoisty bunt młodszej kadry oficerskiej przeciw rutyniarstwu i politykierstwu części starej kadry dowódczej.

Z KSIĄŻKA NA TY

Eugeniusz Paukšta

Pamiętniki-diariusze-wspomnienia

grafii poety, jak i do osób z nim pośrednio lub bezpośrednio związanych.

Otrzymałbym staraniem „Czytelnika” bardzo interesujący tom „Majakowski we wspomnieniach swoich współczesnych”, gdzie w relacjach osób najbliższych, od matki poczynając, rysuje się w gęstej paletce barw jakże — niebanalna, przepełniona na wskroś indywidualnością sylwetka człowieka i wybitnego poety, twardego charakteru, przeświadczonego o swej wartości, buńczucznego, ale przy tym na swój sposób skromnego. Jakże to dalekie od stereotypu, od banalnego szablonu, jakie bogate w

ale dla każdego inteligentnie myślącego odbiorcy.

I jeszcze porcja wspomnień i materiałów okupacyjnych. Na czoło wysunąłbym tutaj kapitalną przez swój makabryczny dokumentaryzm pracę Mikłosa Nylszli „Pracownia doktora Mengele”. (Czytelnik). Są to wspomnienia lekarza z Oświęcimia, zatrudnionego jako lekarz przy oświęcimskim krematorium, w dziale podległym wyjątkowej pieczy ośławionego, zabójcy doktora Mengele. Autor pisze prosto na pozór beznamiętnie, tym większe wrażenie czynią te karty, świadczące o szczytowym upodleniu człowieka, do jakiego dochodzili

Ryszard Danecki

BAL

Fragment książki „Kropla oceanu”, która wkrótce ukaże się w księgarniach, wyróżnionej w ogólnopolskim konkursie na powieść współczesną, organizowanym przez Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne, Związek Literatów Polskich i Wydawnictwo Poznańskie.

Przed drzwiami toalet na statku stały kolejki, uzgodniono, że na umyć się i ogolenie przy dzisiejszym tłoku, przystawiano się do uroczystej kolacji pożegnanej i balu, musi wystarczyć dziesięć minut, stalowa blacha dudniła pod pięściami niecierpliwych, gdy upływał wyznaczony czas, przed damską umywalnią wybuchły cięgie awantury, kobiety które przed chwilą ponaglały swoje poprzedniczki, po zamknięciu od wewnętrznej zasłony znowy spokojnie wściekle kolatanie tak długo, aż nie wychodzili stamtąd starannie ufrizowane i uszminowane, potem biegły natychmiast do kabiny spikera, gdzie dopychały się do jedyne na pokładzie kontaktu do żelazka, Henryk dostał się pod kran, dopiero gdy się ściemniało, płynęły już co najmniej godzinę, chwile trwały, zanim wodząc aparatem do golenia po policzku utrafił w rytm kołysania się podłogi pod nogami, a i tak mocno się zaciął przy uchu.

Wszystkie miejsca w jadalni były zajęte, gdy wszedł wreszcie, gotów być ofiarą najwściebniejszych blażenstw pożegnania ceremoniału, aby tylko nie psuć nikomu nastroju, z trudem rozpoznawał współpasażerów, mały sztygar z Siemianowic, zwykle chodzący w podartym swetrze, wypuszczonym na poplamione i wypchnięte na kolanach

manchestrowe farmerki, błyszczał czarnymi lakierkami o ostrych szpicach, stalowe spodnie gabardynowe miały kant jak kil statku, a w rozchyleniu modrej, sportowej marynarki rusał wąskimi skrzydełkami motylek tegoż koloru, kontrastując z bielą wykruchmalonego kołnierzyka koszuli, skrawek ławki ustąpiła Henrykowi szefowa kuchni, czule całowała Marię po oczach.

— Piękna jest ta nasza mała, prawda? — mówiła. — Niech jej pan tylko nie krzywdzi...

— Ja? — zdziwił się.

— Swoje przeżyłam, mam oczy otwarte, już ja was młodych znam. Moglibyście być moimi dziećmi, no, pan może nie, musiałabym rodić, mając gdzieś trzynaście lat, zgadłam?

— Obłuda towarzyska nie każe mi się głośno domyślać daty na pani metryce... — Gadanie, mój syn, mam jednego, w tym roku poszedł do wojska, na szkołę oficerską pancerniaków...

— Widziałem trzynastoletnią matkę, jedną z nich po porodzie zapytała lekarza, to było pierwsze jej pytanie, kiedy będzie mogła mieć stosunek, trochę to dosadnie powiedziała, nie znała innego określenia...

— Pożyje pan dłużej, przestanie się dziwić, mojemu starszemu pięćdziesiątka stuknie, zakochał się w osiemnastoletniej podobno z wzajemnością, a idź sobie, pozwoliłam mu, mam ci na drodze do szczęścia stać? Bez niego dam sobie radę, syn już dorosły, zarabiam dobrze, pewno, że czasem markotno, ale wróci, wróci, z jego reumatyzmami taka młoda długo nie wytrzyma.

Wyniesiono ostatnie talerze po wieczornym posiłku i zaczęły się przemówienia, starościna, starosta, kapitan w galowym mundurze, obdarowany albumem do zdjęć, album obiecano wypełnić fotografiami z tego rejsu, które kapitan otrzyma później pocztą, po wywołaniu, wymieniano adresy, co chwila ktoś wstawał wznosząc toast, otyła wczorajsza wachlująca się chusteczką z muślinu błękitnego jak i jej sukienka, widać było wyraźnie różowe naramniki halki i stanika, dysząc ciężko nosiła kartonik z losami, Henrykowi przypadł rak fioletoowego koloru, nie większy niż guzik, przywiesił go do srebrnej gwiozdy jonskiej, którą miał „pięty mankiety” koszuli, musiał zaśpiewać jedną zwrot-

kę piosenki ludowej, mógł wybrać każdą inną, ale nie mu nie przychodziło do głowy, wołał to, niż mówić wiersz czy opowiadać anegdotę, wysokim miękkim tenorem zaciągnął: z liścia chałupkę miała, słomą ją zapierała, wyr, wyr, wyr, cha, cha, cha, dyl, dyl, dyl, cha, cha, cha, słomą ją zapierała, słomą ją zapierała, na chłopów wciąż czekała, a chłopcy głupi byli, że się tam nie do- byli...

Na zakończenie tej skocznej melodii gwizdał przenikliwie jak kiedyś przy głoszeniu ganiących gołębi, które zmęczone kołowaniem chciały siadać na gzymsach murów, to stało się sygnałem do tańca. Tłocząc się przy schodach, wychodzono na pokład, gdzie rozbrzmiewały już zawrotne rytmy polki.

Balustrady owinięte były kolorową bibułką, zarówno świeciły zielono, wiśniowo i niebiesko, na górnym pokładzie furkotwały barwne chorągiewki, wiszące na olinowaniu rozpiętym od komina do drążka bandery i w poprzek, tutaj tańczyły w ciemnościach najmłodsze pary. Przypatlił się do ich szóstki mocno już podchmielony operator dźwiękowy z Rze szowa, dostał urlop kolicznościowy po szkole, jaki przeżył, gdy spalił prądem człowieka, który nieoczekiwanie znalazł się w zasięgu długiego, opuszczonego ramienia żurawia, pracującego przy napieciu dwudziestu pięciu tysięcy volt, przymocowywał przewody na słupie, z metalowego ramienia wyskoczyła nagle iskra o dwumetrowym łuku i zwegliła nieostrożnego montera, rzeszowianin próbował bezskutecznie odbijać go, klasnął po kolei przy każdej parze, lecz nikt nie puszczał z objęć swojej partnerki, wtedy odwołał Henryka i powiedział, że w budce sternika stoi butelka spirytusu, którą kupił, niech Henryk dyskretnie przejdzie tam i poczęstuje się, sam zaczął kręcić się z Marią, wysoko unosząc przy każdym obrocie nogi.

Gdy Henryk wrócił, tamten siedział na ławce drzemając, alkohol i taniec zmorzyły go, Marii nie było, pozostała tylko jedna para, stała w miejscu, lekko kołysaniem się zaznaczając od czasu do czasu tempo tanga, Henryk znalazł Marię przy pakowaniu płyt.

— Już po pierwszej, wszyscy prawie śpią — wyjaśniła — wylaczam głośniki, oprócz tego na górę, wyciszę go, założy

łam taśmę, żeby nie schodzić, mamy godzinę spokoju.

Zaprowadził ją do sternika, napiła się z Henrykiem spirytusu, tańczyli boso, nie rozplatając rąk czekali na początek następnej melodii, wreszcie zostali sami pochrapujące ze świstem dźwiękowego utożyli wygodnie na ławce i nakryli kocem, chociaż sami nie czuli zupełnie chłodu nocy, po kilku bostonach i big-batowych kawkach przerwali taniec, Henryk poszedł po butelkę, stali oparci o balustradę, wtedy właśnie na krawędzi światła, otaczającego kręgiem ich stątek, ukazał się na moment nad powierzchnią rzeki sterczący pal — jak dłoń w czarnej od smarów i brudu, brezentowej rękawicy, Maria przycisnęła się mocno do Henryka, obejmując go kureczowo za szyję, twarzą przytuliła się do piersi, czuł poprzez koszulę jej gorący oddech.

— Masz, tykni, dobrze ci zrobi! — po- dał jej spirytus.

Też przez chwilę ogarnął go lęk, poczucie winy, Olek może by nie utonął, gdyby nie pił z Henrykiem wódki, lecz przecież nie Henryk urządził składkę. Olek piłby z jednej szklanki z kimś innym po prostu, mimo to bliska mu się bardzo stała Maria z jej wyrzutami sumienia, że skąpiła serca młodzieńskiemu marynarzowi, gdy żył Henryk przysparzał jej mocniej do siebie, najsilniej chyba wiąże z sobą ludzi świadomość wspólnoty, może trwała miłość, to właśnie ustawiczna pamięć o wspólnym udziale w największym z przestępstw jakim jest obdarowywanie kogoś życiem skazywanym na ból bezsilnych zmagających z czasem, na rozpacz konania, powoływanie z nieości obdarzonego rozumem bytu bez pytania go o zgodę, często dla jednej chwili boskiej rozkoszy tworzenia, ucieszył się, że pojutrze zobaczy swojego syna Marka, natychmiast w środę rano pojedzie do niego na wieś, we wtorek wieczorem będzie już w Poznaniu, stanie na progu swojego domu, w którym czeka Bogusia, mądra, cierpliwa Bogusia, zateknieł za nią, pocałował Marię w zaciśnięte usta. Wzbierały w nim nowe wiersze i powracało poczucie wolności — tak Safo zgnała Faona.

...targnęło się w niej serce, a równocześnie z chciwością garnała się do tego czasu wolnego od miłości. Była znużona

tym ogromnym latem, pragnęła ogarnąć myślą to wszystko, co przeżyła. Raz jeszcze powtórzył w przypomnieniu, jak to było, jak to się stało.

Nie mogła nacieszyć się pierwszym dniem wolności i pierwszą nocą. Każdy przedmiot został jej zwrócony. Wrócił do niej ulubione drzewo w ogrodzie. Od zyskiwała swój dom, książki, samą siebie.

Zabrała się do przepisywania nowych pieśni. Sporo tego było. A każda pieśń przez Faona, dla Faona, o Faonie.

Słowa ich były ciepłsze w dotyku, a poruszona wiedza wyprowadzała nieoczekiwane spotkania dźwięków i wywlekała z nich rozkosz niespodzianki. To była żywa poezja.

— A więc jestem bardziej poetką niż kochanką? — dziwiła się. I niemal wstydziała się tego. Bo było tak, jak gdyby oszukała Faona i pod fałszywym pretekstem wzbudziła w nim miłość. Jego samego nie potrzebowała.

Zdumiewała ją, że tak mało myśli o Faonie. I czemuż, niemając, tak się z początku przerażała tej miłości?

Dlaczego przerażał się tak tej miłości?

Kreślił się z Marią w powolnym kuja-wiaku jak przedszkolaki, oddaleni od siebie na całą długość rąk, z odrzuconymi do tyłu głowami, tylko bosa stopy dreptały blisko, ocierając się o siebie palcami, statek płynął jak gdyby szubując w pustce, dźwiękiem prosto w czarną wklęsłość przestrzeni z maleńkimi punkcikami, nie wiadomo, czy gwiazd, czy światełek ludzkich osad, posuwał się otoczony aureolą rozrzedzonego mroku, który tężał na skraju świetlistego pierścienia w nieprzeniknionej noc, syrena buczała co jakiś czas, nad głowami przemyczał cień mostu, kreślił się w takt kołysania statku, muzyka umilkła, z nie widocznego głośnika umocowanego do masztu spływał szmer podobny do szmerania wody za burtą, kreślił się, nie odrywając stóp od pokładu, każde ciężkie w swoją stronę, upadłoby, gdyby nagle przestali wirować, czerwone światła na bojach, wytyczających bezpieczne przejście pomiędzy mizelkami, pozostawały w tyle, oddalały się, ścięte paki goździków, mały powoli, pogażały się w ciemność, w nieistnienie...

Szczawnica 1963 — Drzeczko 1964

Przeglądamy Prasę

ZNIKOMY WPŁYW DOMU!

Jan Brodzki na łamach „Tygodnika Demokratycznego” polemizuje z poglądami tych, którzy uważają, że wpływ domu rodzicielskiego na dzie ci jest znikomy. Autor zgadza się w swoich „Uwagach o wychowaniu” z tym, że pracochłonne są zawodowe i społeczne zajęcia rodziców, że szkoła odgrywa przewodnią rolę w zakresie nauczania i wychowania, ale jednocześnie stwierdza, że wielu rodziców nie zdaje sobie sprawy z wpływu, który jednak wywiera na dziecko.

Rzecz w tym, że często rodzice popełniają błędy wychowawcze, pozostawiając u młodych obywateli przekonanie, iż to co stworzyliśmy im w naszym ustroju jest proste, łatwe, dokonane bez wyrzeczeń, trudności i kłopotów. Czasami zaś wręcz utwierdzają młodych w przekonaniu, iż już obecnie należy im się znacznie więcej, iż z aktualnych warunków mają prawo być niezadowoleni. W ten sposób: „kolosalny wysiłek uczelni, kolosalny wysiłek organizacyjny i materialny — pisze Brodzki — mający profilować również określonymi korzyściami

wychowawczymi, osłabiony jest i niwelowany przez wpływ domowy”.

MŁODZI I ALKOHOL

Nie należy do rzadkości widok 14- czy 15-latkę gaszącego pragnienie kufem „jasnego” z kołnierzykiem”. Nikt z dorosłych nie zwraca młodym uwagi, że piwo to także alkohol, a zatem napój szkodliwy dla zdrowia. Statystyki są niepokojące. 65 proc. chłopców i 38 proc. dziewcząt w wieku 12 lat pije piwo. Później przechodzi okres picia wina. Wdrażanie się do picia alkoholu przez młodzież rozpoczyna się od luku piwa. Piszcie o tym Władysław Osiańczak w „Głosie Nauczycielskim”, stwierdzając m. in.:

„Chyba faktem najbardziej wstrząsającym jest to, że pierwszy łyk alkoholu podaje ojciec lub matka. Nie tylko w rodzinach zdemoralizowanych. Także w środowiskach zupełnie normalnych i zdrowych. Dzieje się to z okazji najrozmaitszych uroczystości rodzinnych, spotkań towarzyskich, czasami zaś traktuje się kieliszek wódki jako środek leczniczy”.

Czy i na tej podstawie można stwierdzić, że wpływ domu na dzieci jest znikomy?!

A MOŻE JEDNAK ZREFORMOWAĆ!

Chodzi o uczelnie artystyczne, zwłaszcza zaś o Akademię Sztuk Pięknych. Do tematu tego, poru-

szanego już w naszej prasie, wraca Marek Jaworski na łamach „Życia Literackiego”. Jego zdaniem struktura naszego szkolnictwa plastycznego odbiega całkowicie od istniejących oraz przewidywanych na przyszłość potrzeb gospodarczych i kulturalnych.

„Warto zatem zastanowić się — pisze autor — w ogólności nad racjami dalszego utrzymywania akademii jako uczelni kształcących „twórców” i nadających dyplomy „sztuki czyste”. Zwykle wymogi życia nader dosadnie wykazują przecież, że dalsza egzystencja obecnych programów ASP jest bezzasadna; uczelnie te wypuszczają ludzi pozbawionych szerszego oparcia społecznego i skazanych nieraz na heroiczne wręcz zabiegi w celu zapewnienia sobie choćby najskromniejszego utrzymania. Również naczelne zasady konstytuujące działalność akademii wydają się dzisiaj mocno wątpliwe: seryjne szkolenie twórców oparte jest siłą rzeczy na niwelacji różnic indywidualnych, co już stanowi sprzeczność samą w sobie”.

CZY PRASA POMAGA!

Z pytaniem tym nierzadko spotykają się dziennikarze wszystkich gazet. Wygłasza się je w różnych formach pod adresem twórczości dziennikarskiej dotyczących wszystkich zagadnień, którymi zajmuje się prasa. Pytanie ważne jest nie tylko dla dziennikarzy. I dlatego re-

dakcja „Polityki” zwróciła się do kierowników różnych resortów gospodarczych z prośbą o odpowiedź na 7 pytań związanych z tą sprawą.

„Krytyka prasowa — pisze w związku z tym „Polityka” — jest bronią ostrą; sposób jej użycia był zawsze dyskutowany. Publicystyka ekonomiczna jest dziś terenem informacji i krytyki najbardziej może odpowiedzialnym. Dziennikarz dysponujący niekiedy wycinkową wiedzą o rzeczywistości społecznej formułuje oceny dotyczące pracy całych zespołów gospodarczych, poddaje krytyce decyzje administracji, formułuje wnioski na temat ich zasadności. Publicysta ekonomiczny z jednej strony orientuje społeczeństwo w sprawach gospodarczych, wpływa niekiedy na kształtowanie się określonych nastrojów, z drugiej — wywiera pośredni nacisk na organa gospodarujące. Nie dziwnego, że powstają tu konflikty i nieporozumienia, że poddawana jest z kolei krytyce dziennikarska kompetencja; twierdzi się także — w sferach administracji — że pewne opinie krytyczne wypowiadane przez publicystów ekonomicznych mogą szkodzić interesom poszczególnych zakładów czy zespołów, bądź nawet gospodarce narodowej jako całości (np. problem tzw. tajemnicy handlowej ważny dla stosunków gospodarczych z zagranicą)”.

Jako pierwszy odpowiada na pytania „Polityki” przewodniczący Komitetu Pracy i Placy Aleksander Burski, który reasumując swoje rozważania stwierdza, że:

„Zawarta w publikacjach analiza i słuszna krytyka procesów gospodarczych

i społecznych jest jak najbardziej pożądana, gdyż spełnia bardzo istotną rolę wprowadzającą obywateli w mechanizm sprawowania władzy i podejmowania decyzji.”

*

Ponadto: w „Polityce” dwie budzące szersze refleksje relacje. Romuald Karaś i Zygmunt Pikulski w artykule „Historia jednego palca” przedstawiają spór poszkodowanego w pracy robotnika z lubelskimi lekarzami, a Janusz Rolicki w artykule „Jego interes prywatny” pisze o nie do pozazdrośczenia losach na uczelni inżyniera, który chciał uzupełnić swoje kwalifikacje. W „Kulturze” Stefan Wysocki zabiera głos w sprawie dyskutowanych ostatnio proporcji muzyki w Polskim Radio; ten sam tygodnik rozpoczyna druk esejów literackich prezentujących współczesne spojrzenie na wielkie, osobowe mity ludzkości, pierwszy poświęcając Orestesowi (fragment książki angielskiego pisarza Roberta Gravesa), „Życie Gospodarcze” w rubryce „Liczby mówią” przynosi ciekawe dane o uprzedmiotowieniu wojędztw, porównując wzrost wartości produkcji globalnej poszczególnych wojędztw oraz przedstawiając procentowy udział poszczególnych wojędztw w wartości produkcji globalnej całego naszego przemysłu. Na zakończenie coś ze „Zmysł leń” Wiesława Brudzińskiego w „Szpilkach”: „Iks i Igrek to ludzie, których czyni zgodzając się ze słowami. Czyni Iksa ze słowami Igreka”.